Nr. 5. | Należ. poczt. opłac. ryczałtem | We Lwowie, 1. marca 1928. | Rok 50.

ŁOWIEC

KALENDARZ ŁOWIECKI W marcu wolno polować na głuszce (koguty) od 15-go, cietrzewie (koguty), słonki, kaczory i gęsi dzikie.

NR. 5. WE LWOWIE, 1. MARCA 1928. ROK 50.



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

SEWERYN KROGULSKI

PÓŁ WIEKU!

Ciąg dalszy

W dalszym pochodzie zauważył cesarz kolekcję bardzo ładnych rożków sarnich ks. Jerzego Lubomirskiego z Rozwadowa.

Przy grupie okazów Moslera zapytał o ich pochodzenie (Wełdzirz) i podziwiał tu poroże jelenia o nadzwyczajnej rozpiętości 151 cm, niemniej też okaz porykującego jelenia, przedstawionego w pozycji leżącej.

Przyglądając się trofeom krysowickim hr. St. Stadnickiego, wśród których imponował rzadki okaz potężnych wideł jelenia wstecznika, powiedział: „Widzę tu wogóle grube rogi".

Z okazów pochodzących z dóbr Skole, podobały się monarsze tęgie niezwykle rysie, ogromne łopaciaste zrzuty jelenich rogów, wieniec premiowany w Berlinie 1909 i dwa okazałe, zwarte rogami w walce jelenie, znakomicie wypchane i przedstawione. To też zbiór ten spotkał się z pochwałą: „Tak, Skole i ładnie i obficie wystawiło".

Podczas oglądania rysiów skolskich zakomunikował cesarzowi hr. Bielski wiadomość — wskazując na hr. Goetza-Okocimskiego, że w tegoż rewirach złowiono właśnie żywcem dwa młode rysie. Z zaciekawieniem więc zapytał cesarz barona G. w jaki się to odbyło sposób i czy żyją te rysiaki? Opowiedzianego zdarzenia, z oznajmieniem, iż te śliczne koty żyją — wysłuchał cesarz z widocznem zajęciem i zadowoleniem. *)

W dalszym przeglądzie podobał się cesarzowi preparat łba jelenia, grubego 16-ka, ubitego przez br. Goetza-Okocimskiego w Czarnoriczce; przyczem, zwracając się do zdobywcy tego okazu, zauważył: „Przy tym sposobie wystawiania sam wieniec traci na okazałości". W tej uwadze mieści się wielkie znawstwo, gdyż rzeczywiście wystawienie łba wraz z porożem, ostatnie znalazło się zbyt wysoko. Znamienna rzecz, że bystremu jeszcze oku sędziwego — bo 80 lat liczącego znawcy, nie uszedł ten szczegół.

Zwiedzając kolejno dalsze pola Galerji, na każdym niemal kroku czynił ten wielki myśliwy swoje spostrzeżenia. I tak: zwrócił uwagę w pochwalnych słowach na okazały łeb dzika, ubitego przez Witolda Korytowskiego; na plany zameczków myśliwskich architektów Tadeusza Mokłowskiego i Józefa Jankowskiego; na piękne okazy kruszelnickie dra artura Krisera; na wspaniałe wieńce jeleni, ubitych w Wetlinie. Z ostatnich zaimponował mu 22-tak (dwudwudziestak) Dra Adama Federowicza i trzy dwudziestaki hr. Weissenwolfa.

Co do tej grupy udzielał wyjaśnień hr. Weissenwolf, nadmieniając, że od 20-tu lat w Wetlinie poluje i wciąż jeszcze zdobywa tam wspaniałe poroża.

*) Rysie te darował br. G. schoenbruńskiemu zwierzyńcowi cesarskiemu.

Dokonawszy przeglądu naszej Galerji, cesarz w nader szczerech słowach wyraził swoje pełne zadowolenie o niej, podziękował za objaśnienia i pożegnał uprzejmie prezydjum naszego Komitetu.

Należałoby tu jeszcze przytoczyć opinje wyrażone bezpośrednio podpisanemu — jako *cicerone* — przez króla szwedzkiego o rożkach rekordowych, oraz dwu Habsburgów — Fryderyka i Leopolda Salvatora — o krzeszowickich i karpackich trofeach, — opinje, które łącznie z poprzedniemi, — wzniosły łowiectwo „galicyjskie“ na piedestał światowej sławy.

Ale i tak dość zasłużonego uznania i triumfu!

C. d. n.

C. C. G.

MORITURI.

„*Domini tigrides ad primam mensam, domini tapetes ad secundam*“, słowa te, anegdoty, czy historji, przed oczy nam stawiają dnie rycerskiej chwały, dnie, gdzie tyle w życie poezji wchodziło i piękna. I brzmią nam jeszcze w uszach fanfary i surmy bojowe i wiją się w marzeniu pradziadów postacie tych husarzy bez trwogi, co na Wiednia, Kircholmu, Beresteczka i innych bitewnych polach, tak wysoko pojęcie Polaka - rycerza stawiali. I szum skrzydeł ich orlich słyszymy... i pieszczotą wiatr igra z ich burkami... skórami z lampartów...

Lecz skądże lamparty? Czyżby już wówczas afrykańskie modnemi były myśliwskie wyprawy? Nie lamparty to były, lecz nasze rodzime tygrysy północy — nasze rysie karpackie, litewskie, co skór swych rycerzom życzyły. Jaka mnogość ich być musiała! Jak nędznie dzisiaj swój gatunek kończą!... W obronie ich powiem słów kilka.

Ryś szkodnikiem jest, pewnie, lecz nie takim znów wielkim, by zupełny nań wydać wyrok zagłady — zresztą dawno wzięliśmy rozbrat z tym systemem i dążymy do przedłużenia czasu egzystencji pewnych gatunków zwierza, choćby one były nieprzyjaciółmi i innych stworzeń. Powoduje nas w tem pewne rycerskie uczucie, zamiłowanie przyrody i żal za tem co było, a co tak wciąż i nieubłaganie biegowi czasu ustępować musi. Odbija się to w parkach ochronnych przyrody, w stowarzyszeniach dążących do tego celu. Niewiadomem zaś jest mi zupełnie, czemu dotychczas ryś uszedł uwadze. W ciągu trzech lat ostatnich, wiem z całą pewnością o 15-stu rysiach zgładzonych ze świata w Karpatach; piszę zgładzonych, gdyż w tem tylko jeden zginął z broni palnej! Przy 15-stu wiadomych śmiało możemy liczyć, że drugie tyle zgładzono tajemnie, gdyż ze wstydem wyrzec muszę dla łowieckiego świata, że ryś, owa ozdoba rycerskich husarzy, ów najwyższy cel marzenia myśliwych, owa najdziksza zwierzyna Europy... chłopską stał się zwierzyną! I miast najwyższym stać łowów łupem i chwałą, rozkoszy pamiątką, marnie on w sidłach i boleśnie ginie. I wstyd światu łowieckiemu, że dotychczas on temu nie umiał przeszkodzić!

Intuicyjnie liczę, że tajniki Karpat kryją już niżej pięćdziesięciu tylko sztuk tego zwierza — lecz z roku na rok cyfra ta zmniejszać się musi i zmmiejsza się tempem szalonem. Czyż patrzeć na to będziemy bezczynnie? Czyż nie każdy z nas marzy o wygraniu tego wielkiego losu... spotkaniu z rysiem w porze godów jelenich, lub pieśni głuszcowej? A cóż na to potrzeba? Lat parę jakiej takiej ochrony. Wyeliminowanie okrutnych żelaz z obrębu naszych rewirów, najsurowsze ściganie wszystkich, którzyby nastawali na życie rysia. I apeluję tu uroczyście do Ministerjum Rolnictwa, do którego to jeszcze przez Małopolskie Towarzystwo Łowieckie i Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich z odnośnym przyjdę wnioskiem o zamknięcie polowania na rysie w Karpatach na dwa lata, do Państwowej Rady Ochrony przyrody o poparcie tego, do Ministerjum Rolnictwa o zlecenie Dyrekcji lasów państwowych we Lwowie, roztoczenia specjalnej ochrony nad rysiem, do wszystkich wreszcie posiadaczy rewirów górskich o uważanie go za zwierza najszlachetniejszego, a nie takiego, którego każdemu tępić wolno!

Nie na tem koniec mej mowy obronnej, nie wyczerpałem tytułu. Drugie, jeszcze góry kryją nam zwierzę o którego losy się trwożę. Mam tu na myśli niedźwiedzia! Za mojej pamięci stan jego różne już przechodził fazy. Lat temu dwadzieścia było go bardzo niewiele, na palcach się szczęsnych liczyło, co w kniei z nim się spotkali. Dwóch ludzi wymienię, dzięki których nadzwyczajnej pieczy, niedźwiedź ze zwierzęcia rzadkiego każdemu stał się dostępnym, co Karpat szczyty przekroczył — mam tu na myśli dyrektora Zlamala z Wełdzirza i ś. p. dyrektora Hanuszczaka z Perehińska — dzięki najwznioślejszej wprost dwóch tych w najwyższym stylu łowców, miłości do zwierza i znajomości jego, mieliśmy go potem w obu tych rewirach dużo, stosunkowo bardzo dużo i z tąd też udzielał się on innym sąsiednim rewirom. Dopomogła tu i wojna, po której obliczałem stan niedźwiedzi od rzeki Stryj do Czeremosza na około 200 sztuk. Lecz tu, niestety, widzę błąd w hodowli — za dużo myśliwych rzuciło się na te łowy — oficjalne moje daty wykazują 17 sztuk, ubitych w trzech latach; nieoficjalnie więc, możemy liczyć na 30 z górą — w tem wiele samic. Jeżeli weźmiemy pod uwagę powolną rozmnożę tego zwierza, stosunek samców znacznie przewyższający samice, dojdziemy do wniosku, że jeszcze za wcześnie to było na duże rozkłady, tembardziej, że wielka część ubitych niedźwiedzi to sztuki młode, niewyrośnięte. Tu Rząd zrobił swoje i dał paragraf ustawy, która skutecznie żeński rodzaj chroni. Więc tylko apel do łowców, do tych, co zwierza kochają a nie chcą tylko kuli z luf swoich wypuścić: nie strzelajmy na wiosennej zasiadce, chyba, że chodzi o wiadomego nam pewnie, starego samca! Nie strzelajmy wogóle sztuk mniejszych, przy których zajść może omyłka płci! Sztuka duża, samotna zawsze będzie samcem.

ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Wschodnio-środkowa Afryka)

I.

Antylopa „Mbawala“ a lampart

Ciąg dalszy.

Antylopkę tę, jakeśmy to stwierdzili, przywlókł z dolinki, gdzie ją prawdopodobnie ubiegłej nocy dopadł, resztki te bowiem nie bardzo jeszcze cuchnęły.

Rada w radę — postanowiliśmy zatruć to mięso strychniną. Gdyśmy do nich po godzinnej nieobecności powrócili, już ich tam nie było. Po długich poszukiwaniach dopiero odszukali je murzyni — zawieszone dość wysoko na gałęzi drzewa. Wywlókł je tam, korzystając z naszej nieobecności, co mogło nas upewnić, że jest głodny, i jeszcze do nich powróci.

Zatrucie jednak okazało się nieskutecznem. Nazajutrz nie znaleźliśmy już ani resztek, a co gorsze i lamparta. Czy on je zabrał, czy je kosztował i jak mu posłużyły? — nie dowiedzieliśmy się nigdy...

* * *

Następnego roku byłem znowu w Szamu, ale już po deszczach. Opowiadał mi Kazimierz, który ten okres tam spędził, że lamparty grasowały wówczas w zdwojonej liczbie. W czasie największych ulew zjawiały się nocą na podwórku, a nawet kilkakrotnie wdarły się tam do kurnika, czyniąc straszne spustoszenie między ptactwem. — Do stajni, która stała poza ogrodzeniem i w pierwszym rzędzie wystawiona była na niebezpieczeństwo ich odwiedzin, już się dostać nie mogły od czasu, gdy ją broniły gęste zapory akacji kolczastej; zato częściej dostawały się na podwórze, nadwerężywszy płot w kilku miejscach.

Nie długo potem rozegrała się na naszem podwórzu scena, która najlepiej nam mogła uprzytomnić, jak mało można być bezpiecznym nawet na własnem obejściu.

W małej odległości od naszego osiedla, lecz bliżej rzeki, leżała mała wioska, gdzie mieszkali przeważnie nasi ludzie. Mieszkał tam i nasz pracz, który mając naszego kucharza jako zięcia, często zaglądał do kuchni, zwłaszcza w porze obiadowej. Oczywiście nie przychodził tam z intencjami platonicznemi, lecz aby pokosztować czegoś z kuchni „nuszungów“*). Zjawiał się nieraz z pieskiem, kundlem kaferskim, którego miał we wielkiej estymie, i — jak mi opowiadano — dla niego zbudował umyślną klatkę, i tam go na noc z obawy przed lampartem zamykał.

Śniadania i obiady jadaliśmy zwykle w altanie, gdzie było i przewiewiewnie i przestronniej, aniżeli na werandzie. Stala trochę na uboczu, blisko kuchni, która wedle tutejszego zwyczaju znajdowała się w osobnej chacie.

Jednego wieczora — siedzieliśmy przy stole trochę dłużej, (korzystając z chłodniejszego powiewu od rzeki). Był nów. Noc ciemna zapadła zaraz, po zajściu słońca. Mdłe oświetlenie padające od świecy, zaledwie tu i tam rzucało niepewne smugi światła poza obręb altany, zresztą wszystko tonęło w zupełnej ciemnicy. Paląc papierosy — rozmawialiśmy dość głośno. Także w kuchni, skąd widniało małe światełko dogasającego ogniska, było dość gwarno Dolatywał stamtąd także głos pracza, któremu wtórowały głosy chłopaków, kłócących się o coś z kucharzem.

Nagle rozległ się tuż za altaną urywany skowyt, potem cichy charkot i odgłos uderzenia czemś o płot.

Byliśmy pewni, że któryś z murzynów rzucił polanem za psem, ale równocześnie rozległ się już krzyk: „niarugwe! niarugwe!“ **)

Broń była zawsze obok — wypadliśmy więc w lot ze świecą, jak również, uzbrojeni w głownie palące się — ludzie z kuchni. Niema śladu z lamparta! Badania i poszukiwania po podwórzu doprowadziły nas do otwartej bramy, którędy widocznie wtargnął i którędy wywlókł swą ofiarę.

Trochę sierści, kilka kropel krwi — oto wszystko, co pozostało po biednym psie.

Podniecony tym faktem zacząłem znowu pilnie śledzić tego rabusia. Tropy jego odnachodziłem teraz częściej około bagienka, dokąd było mu najłatwiej przedostać się do wody. Wśród olbrzymich trzcin i papyrusów mógł nawet w ciągu dnia się ukrywać, a nawet w ciągu dnia urządzać stamtąd swe wypady. Tam też niedługo potem znalazłem niedojedzone resztki młodego dzika, tam też oglądałem go w całej okazałości, gdy w oczach moich wyskoczył na zwalony burzą pień drzewa — może w zamiarze odprawienia siesty po dobrem śniadaniu.

Chwilę, jaką wówczas przeżyłem, niech sobie dośpiewają w duszy ci, co jak ja z trudem i wytrwałością gonili kiedyś do upragnionego celu t. j. do zdobycia najcenniejszego trofeum myśliwskiego, niech też oni zrozumią moją rozpacz i żal, gdy im opowiem o zawodzie. jaki mię wówczas spotkał. Na widok tego kota, który najniespodzianiej staje przedemną tak, jakby mi chciał dać strzał najlepszy, — serce mi zabiło naprawdę. Czułem, że mi krew w skroniach silniej pulsuje — mnie, który już umiał panować nad nerwami — a lufa coś drga zanadto.

Ale jakże mogło być inaczej?

Sytuacja niezwykła. W odległości, może sześćdziesięciu kroków, okazuje mi się na podwyższeniu, bokiem do mnie zwrócony, królewski okaz lamparta. Mam go w pełnem oświetleniu.

Stoję również odkryty, ale w tej chwili nie patrzy w mą stronę. Jak z wiatrem? — na razie nię wiem — i nie mam czasu nad tem się zastanawiać.

*) nuszungu — biały człowiek.

**) niarugwe — lampart.

Nabierając powietrze głębokim oddechem, staram się doprowadzić do uspokojenia krew rozigraną, aby i wolniej i spokojniej przyprowadzić broń do ramienia. Wiem, że najmniejszy ruch może mię zdradzić.

A lampart właśnie wygina się w kabłąk, jak kot ze snu zbudzony i — ziewa!

Już go mam na muszce, już tylko pociągnąć za cyngiel... gdy w tej sekundzie zeskakuje z pniaka. I pokryły go trawy i tyle go widziałem...

— — — — — — — — — — — — —

Wkrótce potem wyjechałem z Szamu. Jadąc na wybrzerze po rozmaite zakupy, myślałem także o nabyciu wielkiej łapki na drapieżce. Nie dostałem niestety nic w tym rodzaju, ale za to wypożyczył mi pewien metys portugalski z nad Zambezy, swoje żelaza.

Była to łapka talerzowa, ogromne, stare żelaziwo, ale o dobrze jeszcze działających sprężynach. Do naciągnięcia i nastawienia potrzeba było dwóch ludzi. Od biedy mogłaby i na lwa służyć!

Po powrocie do Szamu — zabrałem się zaraz do dzieła. Łapkę odczyściłem i dla odwonienia dobrze wymaściłem koziem sadłem. Łapkę, przywiązaną za pomocą łańcucha do grubego kloca, ustawiłem około bagienka. Leżała w odpowiednio wykonanym dołku, a przykrywały ją narzucone z wierzchu źdźbła traw. Za przynętę służył żołądek kozi. Wszystko to — nie wyłączając naszych śladów skropiło się gęsto zawartością kiszek i żołądka dla zatarcia woni ludzkiej i — czekamy.

Mija dzień, mija drugi — nie ma nic. Trzeciego dnia znajduję łapkę zamkniętą, a przynęty brak.

Bliższe badania wskazują na ślady bytności lamparta przy łapce. Są nawet znaki, z którychby należało sądzić, że warował przy łapce — skradając się do przynęty.

Jakimże sposobem mogła zniknąć? Przymocowana była drutem do tależa, a drut pozostał?

Łam sobie głowę — nie dojdziesz do sedna rzeczy!...

C. d. n.



Sumatra, jako teren myśliwski

Z całego archipelagu Indyj holenderskich, jedna już dzisiaj tylko Sumatra zasługuje na większe zainteresowanie się nią wielkich łowców światowych.

Inne wyspy archipelagu są albo już ubogie w zwierzynę i tak trudno dostępne jak Borneo i Celebes, albo już tak przeludnione, jak Jawa, posiadająca 35 miljonów mieszkańców, których na kilometr kwadratowy wypada 266, przewyższająca więc gęstością zaludnienia zachodnie państwa europejskie. Sumatra, którą przepoławia równik, pełna puszcz tajemniczych, dziewiczych, mało zbadanych, o wspaniałej wegetacji i faunie, przyciąga myśliwca dla trzech najwspanialszych gatunków zwierzyny: tygrysa królewskiego, słonia i nosorożca. Łowy na tygrysy są bardzo trudne z powodu gąszczów i bagien, w których zwierz ten się kryje i spotkanie z nim jest raczej dziełem przypadku. Słoń Sumatry jest znacznie mniejszy od afrykańskiego, lecz łowy na niego przedstawiają się również jak i w Afryce niebezpiecznie. Nosorożec tamtejszy rozpada się na dwie odmiany, jedno i dwurożną. Rogi zbroją nosy tylko samców. Nosorożce te, choć znacznie od afrykańskich a nawet od innych indyjskich mniejsze, są jednak wskutek swej dzikości i nadzwyczajnej ostrożności cenną atrakcją myśliwską,

Z innych ssaków zasługuje na uwagę wcale nie rzadki tapir, dzik, kidang podobny do naszej sarny, jelenie, karłowaty i potężny, choć tylko sześciolistnym obarczony wieńcem, sambur. Świat małpi zaprezentuje orangutan i lamping, świat ptaków olbrzymi i wspaniały bażant argus. Krokodyle, leguany, a również i olbrzymie węże zamieszkują błota, wody i dżungle. Te ostatnie są o wiele dla ludzi niebezpieczniejsze od jadowitych, których też tam zresztą nie brak. Gady więc i nie bardzo Europejczykowi życzliwy, w okolicach nawet niektórych wręcz wrogi klimat, są czynnikami deklasującemi to Eldorado myśliwskie, pełne wspaniałej zwierzyny do rzędu trofeów trudnych i niebezpiecznych.

W roku ubiegłym polował na Sumatrze ks. Andrzej Sapieha. Opowiadał mi On, że gdy zgłosił się do władz miejscowych z prośbą o pozwolenie i ułatwienie polowania zwróciły mu one uwagę, że ludność tubylcza jest przekonaną, że w dziewiczej puszczy żyje małpolud, więcej do człowieka niż do małpy budową ciała zbliżony. Kilka już ekspedycyj naukowo-myśliwskich przedsiębranych w głąb wyspy nie zdołało jednak spotkać się z tym tworem, widziano jednak jego ślady zupełnie do ludzkich podobne. Książę Sapieha poświęcił też główną uwagę zbadaniu tej tajemnicy. Spotykał też ślady rzekomego małpoluda, ochrzczonego dziwacznem przez ludność nazwiskiem, które mi wyszło z pamięci. Z żywym egzemplarzem się nie spotkał. Natomiast ubito rzadki bardzo okaz niedźwiedzia, którego tropy łudząco do ludzkich zbliżone były. Zagadka się wyjaśniła. Fakt ten jednak daje nam miarę nastroju, w jakim wkracza europejski myśliwy do pełnej uroku tajemniczości sumatrzańskiej dżungli.

A. M.

A. PRZEDRZYMIRSKI

Dalszych kilka uwag w sprawie obecnej amunicji śrutowej.

Zajmujący bardzo artykuł p. Generała Maryańskiego, pomieszczony w 3-cim numerze *„Łowca“* z b. r. skłania i mnie do poczynienia kilku uwag o obecnej amunicji śrutowej.

Zanim jednak przystąpię do aktualności, sięgam do wspomnień i przeżyć z przed lat 50-ciu, gdy w r. 1878 stawiałem pierwsze moje kroki łowieckie z kapiszonową dubeltówką Lepage'a, która w owym czasie, już conajmniej od lat 30-stu była w posiadaniu ś. p. mego Ojca i która mimo tak długiej służby zachowana była nienagannie.

Z Lepagówką ową chodziłem lat 7, zanim za jakieś naukowe zasługi nie zostałem obdarzony nową Lankastrówką kal. 16 Lepagówka powędrowała do szafy, w której byłaby do dziś dnia spoczywała, jako cenna pamiątka, gdyby ją w roku 1914-tym nie zabrali Moskale wraz z liczną inną moją bronią.

Z ową Lepagówką łączyły mnie już przeżyte koleje, z żalem więc wielkim udzieliłem jej emeryturę, ale pomimo tego, gdy czasem zabrakło mi lankastrowych naboi, wydobywałem ją napowrót z szafy i stara przyjaciółka pracowała napowrót z młodzieńczym zapałem i skutkiem. Polowałem z nią i na błotach i ścierni, w polu i w lesie, a strzelało się do ptactwa znacznie gęściej niż dzisiaj, bo też było go niepomiernie więcej. A ile to za ilustrację służyć mogą moje zapiski, według których zabiłem w r. 1884 prawie 900 samych przepiórek i przeszło pół tysiąca innego ptactwa łownego. — Co to była za praca fizyczna, ażeby z kapiszonówki „wypuścić“ przeszło 2000 strzałów, o tem dzisiejsze pokolenie nie może mieć wyobrażenia.

Od 50 lat wychowało się już dwa pokolenia myśliwskie. — Ci młodzi „pracują“ teraz z Hollandami, z Purdeyami, z Browningami, mają cudowną gotową, żółtą, zieloną, czerwoną amunicję; cacka nie naboje, strzelają najrozmaitszemi rodzajami prochów bezdymnych, kłopocą się ciągle choceborami, razancją, penetracją, wibracją, kryciem, zakładaniem i Bóg wie czem jeszcze. No i w rezultacie cieszą się (daruj Czcigodny Generale) gdy im zając padnie z dymem na 37 kroków. — Za moich szkolnych czasów byłem bajecznie „ostrzelany“ grudami i zieloną rzepą a prawie co sobotę urządzałem sobie tą amunicją popisowe strzelanie do lśniących cylindrów, które w te dni „mniejszość narodowa“ wyprowadzała na świeże powietrze. — I miewałem „Volltreffery“, na mało co mniejszą jak zacytowana wyżej odległość. Lecz raz spudłowałem i zamiast w cylinder, trafiłem w łeb jego właściciela, co mi przyniosło 16 godzin karceru szkolnego — jako słuszną karę za pudło. A ile to dziś grymasów co do jakości przybitek, prochu, spłonek, jakości łusek, jakości śrutu i innych bez końca.

Tych wszystkich kłopotów Lepagówka nie miała. Posiadała lufy cylindryczne, do których sypał się z różka zaopatrzonego w automatyczną miarkę proch austrjacki, dymny, lśniący, drobnoziarnisty, przybijało się ten proch pakułem z sierści bydlęcej, tłukąc stemplem aż pokąd sam z lufy nie wyskoczył, następnie z woreczka zaopatrzonego w miarkę wsypywało się śrut i lekko przytykało takim samym pakułem — wreszcie z maszynki o automatycznem również urządzeniu kładło się spłonkę na kominek i strzelba była gotową do strzału. — Gdy brakło czasem pakułów, służył za przybitkę zwykły papier a w ostateczności nawet suche liście. O twardośrucie nikt wówczas nie słyszał. A przecież pomimo utraty gazów przez kominek i obok pocisku skutkiem nieszczelnej przybitki — rezultat strzału bywał dobry. — Skuteczne strzały do zajęcy w polu na kroków 60 były na porządku dziennym i nikt na nie nie zwracał uwagi; Gdy zając padł z dymem na 70—80 kroków, mawiano „strzelba dobrze bije, ma brand“. O dalszych odległościach przemilczam, by mnie o przesadę nie posądzano. Strzelało się wówczas, co prawda, grubym śrutem austrjackim numerem 4. lub nawet 2., a ile tam zając śrutów dostał, nikt nie badał, „grund“ by po strzale leżał.

Może żyje prócz mnie jeszcze ktoś, co te czasy pamięta, by poświadczył, że tak rzeczywiście bywało.

Skończyły swą rolę kapiszonówki — ich miejsce zajęły strzelby odtylcowe o lufach cylindrycznych lub mało bardzo u wylotów zwężonych, stary austrjacki proch dymny istniał dalej, łusek było może kilka odmian i to różniących się przeważnie tylko barwą. I żadnych narzekań na amunicję się nie słyszało. Nie słyszało się ich również, gdy w miejsce starego prochu dymnego zaczęto używać doskonałego austrjackiego prochu bezdymnego Nr. I., do śrutu. Do zajączka biegnącego ostro na połeć, strzelało się trochę przed pazurki i zając leżał.

Przez długoletnie strzelanie z jednej broni jedną amunicją, nabywał myśliwy wprawy w strzelaniu i mógł na nią liczyć. — Aż zaczęło się nieszczęście — zaczęły się głębokie balistyczne dociekania, powstały na ich podstawie nowe konstrukcje luf, (chocebory mniej lub więcej radykalne) nowe gatunki prochów‘ nowe typy łusek i spłonek. — Głowa puchnie, nim się człowiek wyzna w tym chaosie a zwłaszcza w numeracji śrutu. Wierzę głęboko, że wszystkie te naboje są doskonałe, lecz prawie każdy ich typ potrzebuje dla siebie specjalnego typu luf a z innych źle strzela, i następuje to, na co tak właściwie wskazał p. Generał Maryański, że naboje nabyte z tego samego źródła w poniedziałek, strzelają dobrze, a nabyte w środę źle, że dziś po strzale kurzy się na polu przed zającem a jutro tuż za nim, i człowiek traci zaufanie do broni i do siebie samego i strzela coraz gorzej.

Każdy z nas strzela conajmniej tak dobrze, że do zająca w czystem polu odpowiednio wymierzyć potrafi, a przecież i dobrym strzelcom zdarzają się przy dzisiejszej amunicji całe serje niewytłumaczonych pudeł. Dlaczego? Dlatego, że strzelec strzela według, długo-

letnią praktyką nabytej rutyny, a nowa amunicja według nowych prawideł, będących wypadkową danego prochu, danej spłonki, danej konstrukcji, użytej w chwili strzału łuski — strzał został spóźniony lub nadto przyspieszony, a tego strzelec przewidzieć nie może, mogąc dopiero po skutku ocenić amunicję, którą w chwili strzału miał w lufie. — Strzelnica nie dużo go nauczy, bo strzelając do tarczy dowie się, że i penetracja i krycie są dobre, a mimo to doświadczenia polowe wypaść mogą negatywnie.

Z tem „zakładaniem“ to także nie byle jaka kwestja. Spotkałem raz takiego zaprzysiężonego rzeczoznawcę od zakładania, który mi długo i szeroko tłumaczył słownie, cyfrowo i graficznie, ile i kiedy zakładać należy. — Z wielkiem uszanowaniem słuchałem tego wykładu, popartego skomplikowanemi wzorami balistyczno matematycznemi i odszedłem przekonany. Ale w godzinę po wykładzie widziałem jak Szanowny Prelegent pudłował zające, jak każdy inny śmiertelnik i narzekał na amunicję. Nie może być inaczej, każda inna łuska, każdy inny proch, lub spłonka inna, powoduje szybkość naboju śrutowego, i innego wzoru matematycznego . balistycznego wymaga. — Papier jest cierpliwy zawsze, a zając b. rzadko.

Sprawę wikłają jeszcze gorzej schoki, im silniejsze, tem więcej powodując wprawdzie gęstość strzału, lecz zarazem opóźnienie w szybkości ładunku śrutowego — i to tem większe, im grubszym strzela się śrutem.

Rzecz tę łatwo wytłumaczyć. Jeżeli tłum ludzi zgromadzonych w wielkiej sali ma się przecisnąć przez jej wyjście, to do opróżnienia tej sali potrzeba czasu, a to tem większego, im drzwi czy korytarz wychodowy będą ciaśniejsze, a trudność w opuszczeniu tej sali wzrośnie jeszcze, jeżeli ten tłum złożony będzie z ludzi otyłych (vide śrut gruby). Dlatego to z chocków strzelać się powinno najwyżej Nr. 6-tym według dawnej numeracji. Przy strzale nie dążą wszystkie śruty równocześnie w jednej równoległej do celu płaszczźnie, lecz jedne trafiają cel pierwej, drugie później. Jeżeli to cel ruchomy n. p. zając, zdarzyć się może, że przy wadliwem, niedostatecznem założeniu, śruty wszystkie padną za zającem lub co najwyżej dosięgnie go mała ilość po tyle. Przy zwykłem dziś strzelaniu drobnym śrutem 8-mym a nawet 10-tym numerem, nie można wymagać, by po takiem trafieniu zając rulował, co nastąpiłoby z pewnością, gdyby założenie było odpowiednie, bo wtedy dosięgłyby go pierwsze śruty po przodzie, a część spóźnionych po reszcie jego korpusu. Przy dawnych lufach cylindrycznych nie powstawał u wylotu lufy taki zator, jak przy dzisiejszych chocach, równomierność biegu śrutów była większa, rozmiary zakładania mogły być mniejsze.

Jak widzimy z wszystkiego co powyżej, ujemny wynik strzałów nie jest wyłącznie spowodowany opieszałem wykonaniem naboju, lecz może być takim samym i przy najbardziej poprawnie skonstruowanym. — Wynik dobry zależy i od łuski i od spłonki i od amunicji, a zwłaszcza od przystosowania tych wszystkich czynników do już nabytej długoletniej strzeleckiej rutyny myśliwego.

Kto ma za sobą długoletnią rutynę strzelecką, kto przez szereg lat polował z tą samą bronią i tą samą amunicją, ten wyrobił sobie pewien „modus strzelania“ dla siebie najkorzystniejszy. — Jeżeli temu samemu myśliwemu dadzą nową amunicję o zupełnie innych wartościach balistycznych od zwykle przez niego używanej, nic dziwnego, że myśliwemu temu zdarzyć się mogą najnieprzewidziańsze niespodzianki. A o niespodzianki te dziś tem łatwiej, że w dzisiejszych składach

---

MISTRZ - ROTMISTRZ

Kronika stara podarta i licha, u której niejednej karty nie dostało...

Dokończenie.

Na tym epizodzie, o iście homerycznem zacięciu, kończą się, niestety, te drgające werwą karty z życia niepospolitego czciciela św. Huberta i Diany, pogańskiej bogini łowów.

Dalszego manuskryptu albo zupełnie brakuje, całe szeregi stronic ktoś powyrywał, — albo tak jest pogryziony przez szczury i myszy, że pozostały tylko nieznaczne strzępy.

Nie dowiemy się więc, jaki jest dalszy ciąg jego arcyciekawych przygód, pozostanie dla nas tajemnicą, w jaki sposób dostał się z powrotem do kraju.

Że jednak ujrzał kraj rodzinny i że się połączył z wybraną swego serca, Anulą Ciumpanienko, doczytać się można, lub raczej domyśleć z pozostałych fragmentów, których tu kilka, jako sumienny wydawca przytaczam:

. . . .

Nie pojechałem w tym roku na głuszce do księcia Gintowta. Sprzeciwiła się temu pani moja. Anula twierdzi, że wilgoć wiosenna szkodzi mojemu zdrowiu.

Wszystkiemu winien książę, który w liście swym niepotrzebnie nadmienił, że będzie w Oszmianie piękna margrabina Pig-Sticking.

Anula o każdą kobietę zazdrośna. . . . . .
. . . .

Muszę moje pamiętniki przed Anulą chować.

Wyczytała w nich wzmiankę o Bołotowiczowych i nie puściła mnie do Bagnowicz na gęsi, twierdząc, że się tam nabawię malarji, a ona chce mieć zdrowego. .
. . . .

Jutro mają nas odwiedzić Marszałkowa i Ostromęccy. Kazano mi dostarczyć zwierzyny na stół. Musiałem pójść na wydeptanego, po dwa zające na kuchnię. Chciałem się sprzeciwić, zasłaniając się moją myśliwską godnością, ale Anula powiedziała „musisz“, więc . .
. . . .

amunicji modele łusek, spłonek, gatunki prochów, przybitek, liczą się na mnogie dziesiatki.

Nam starym myśliwym nie pora już nałamywać się do tej lub owej amunicji, musimy sobie wybrać jedną, najbardziej nam się nadającą, i tej musimy do końca pozostać wierni. — A co najlepiej, to nabijać łuski własnoręcznie. O ile dobry rezultat strzałów zależnym jest od używanych łusek, dowiedziałem się dokumentnie w r. ub. Wystrzelałem w sezonie zimowym znaczną ilość ślicznie wykonanych żółtych, zielonych i czerwonych gotowych naboi, bez zbyt pomyślnego rezultatu z Browninga automat. kal. 12. Już po nowym roku odkryłem jakieś zapomniane stare łuski wojenne próżne, ostatniej sorty, z dużą kapslą (ale nie Gevelote) ulepione z jakiejś niebieskiej bibuły o okuciu zewnętrznem, sięgającem ledwie na kilka milimetrów a wyłożone w środku kawałkiem skręconej żelaznej, do tego zardzewiałej, blachy, nie bardzo nawet do ścian łusek przystającej. Jednem słowem marka, ohyda. — W braku innych łusek nasypałem do tej ohydy po 2·2 gr. Rothweilera i po 35 gr. śrutu nr. 6. i... proszę mi wierzyć, żadną amunicją w życiu lepiej nie strzelałem. Widocznie właściwości balistyczne tej łuski przypadły do smaku memu Browningowi.

Tyle moich spostrzeżeń. — Balistyką nie wiele się zajmowałem i w tej gałęzi wiedzy jestem jak tabaka w rogu. Być może, że moje wnioski oparte są na mylnych przesławkach. Wdzięczny byłbym każdemu, lepiej te sprawy odemnie znającemu, gdyby zechciał wytknąć mi błędy mojej argumentacji.

* * *

Ponieważ z argumentacjami Szan. Autora nie we wszystkiem się zgadzamy, pozwolimy sobie na zrobienie kilku uwag w przyszłym numerze. Red.

Korespondencje

Rzeszów, w lutym 1928.

Sprawozdanie myśliwskie

Mimo różnych klęsk elementarnych, jak: powodzi, gradobicia i dżdżystej, chłodnej wiosny, które nawiedziły w zeszłym roku powiat rzeszowski, przedstawiał się zwierzostan u nas na ogół wcale pokaźnie.

Mam na myśli oczywiście tylko zające i kuropatwy, wśród których nie dało się zauważyć jakiegoś większego ubytku, spowodowanego np. zaraźliwą chorobą. Strzelane w jesieni i na zbiorowych polowaniach zające nie wykazywały żadnych zmian chorobowych w organiźmie, a kuropatw spotykało się już znacznie więcej, niż przed rokiem. Łagodna zima pozwoli tej zwierzynie przetrwać szczęśliwie najbardziej krytyczny okres w jej życiu, a spodziewana ciepła wiosna przyczyni się niemało do jej rozmnoży.

I zające i kuropatwy znajdują u nas wcale pomyślne warunki życiowe, a ta okoliczność, że właścicielami wielu rewirów są znani hodowcy i sprawiedliwi myśliwi i że około dwanaście pięknych terenów należy do naszego, wzorowo zorganizowanego Towarzystwa Myśliwych, uzasadnia nadzieję, że tej właśnie zwierzyny będzie z roku na rok przybywało...

Naturalnie, jak wszędzie, tak i u nas pozostaje kilka łowisk w rękach chłopskich i te są skazane na zupełne wyjałowienie, ale na to niema rady. Dawniej na wniosek powiatowych delegatów M. T. Ł. zamykały Starostwa w sposób doraźny zagrożoue tereny, dzisiaj atoli wobec obowiązującej już nowej ustawy łowieckiej, szybkie zamknięcie polowania jest prawie że niemożliwe.

Dzięki pięcioletniej ochronie widzi się już teraz na każdym prawie obszarze po kilka pięknych stad tych kuraków, a jeśli się wytępi doszczętnie jastrzębie-gołębiarze, dojdzie stan ich niebawem do norm przedwojennych.

Jakżeż ciężką jest służba przy ukochanej kobiecie!

Nie wolno mi już chodzić na słonki, bo Anula jest zdania, że na takie polowanie czasu szkoda. Zaniedbuje się gospodarstwo, wraca się późno do domu, a w dodatku rezultat nie wystarczy nawet na jeden półmisek. Lepiej już coś większego zabić, aby było do buljonu.

Chciałem oponować, ale Anula . . . .

. . . .

Dziś strzeliłem do dwóch zajęcy. Poszły zdrowe, jakbym to nie ja strzelał, a fuszerini jakiś.

Cóż się okazało. Anula wykręcita mi śrut z naboi, potrzebny jej do wiszącej lampy na ciężar.

Niech to wszyscy dj. . . . .

. . . .

Musiałem księciu Gintowtowi, ofiarować najlepsze moje psy-dzikarze.

Anula jest przeciwna polowaniu z psami na dziki i niedźwiedzie, bo to niebezpieczne. Karma zaś dla psów drogo kosztuje.

Chciałem się ostro postawić i zaznaczyć moją wolę, ale Anula się rozpłakała, a ja na kobiece łzy... w tym stanie... irytować kobietę, zwłaszcza gdy... nie można . . . .

Zaglądnąwszy do szuflady, znalazłem mój pamiętnik bez karty tytułowej i bez wstępu.

Anula zużyła ten papier pod baby i pod placki.

Gdy jej z tego powodu gorżkie czyniłem wyrzuty, odparła z niewinną minką, że to przecież stare, nikomu niepotrzebne papierzyska, a właśnie doskonałe pod baby

. . . .

Dnia 16. stycznia roku Pańskiego... syn.

Chciałem go nazwać Hubert, ku czci naszego Patrona, ale Anula powiada, że Nepomucen, tak jak Ciumpanienko papa i Ciumpanienko dziadek. . . . . .

. . . .

Dziś przyłapałem dziewkę kuchenną na tem, jak moim kordelasem szczypy na podpałki do kuchni łupała. Moim kordelasem od księcia Gintowta, z zębem smoka wawelskiego!

Towarzystwo Myśliwych w Rzeszowie urządziło w tym roku tylko sześć zbiorowych polowań, na których mniej więcej w 20 strzelb ubito razem 312 zajęcy, jednego gołębiarza i jednego rogacza (w lesie).

Najlepiej wypadło polowanie polne w Racławówce i w Niechobrzu, gdzie w dniu 21. stycznia w sześciu kotłach padło na 17 członków-myśliwych 85 zajęcy!

Towarzystwo nie opolowuje zazwyczaj wszystkich swoich terenów, ale pozostawia kilka z nich w zupełnym spokoju, a sprowadzając, jak w roku zeszłym, bażanty i zwalczając kłusownictwo i wnykarstwo przy pomocy zaprzysiężonej straży łowieckiej, przyczynia się skutecznie do ożywienia swoich rewirów.

O wiele lepiej przedstawiają się zwierzostany na terenach prywatnych, dobrze strzeżonych. Rezultaty urządzanych tam polowań świadczą chlubnie o wysokiej kulturze łowieckiej właścicieli, względnie dzierżawców, którzy rozumieją dobrze, że tylko tępienie drapieżników i walka z kłusownikami zapewnia hodowli zwierzyny jaknajlepsze wyniki.

Na 11-stu polowaniach, urządzonych w ubiegłym sezonie przez właścicieli rewirów, padło razem 504 zajęcy, 13 lisów, 3 rogacze i 5 gołębiarzy.

Na pierwsze miejsce wybijają się tutaj łowiska, stanowiące własność hodowcy tej miary i myśliwego tej klasy, co p. Jan Jędrzejowicz, marszałek powiatu i właściciel Staromieścia. Doskonale zorganizowana i zawsze czujna straż łowiecka pilnuje dniem i nocą powierzonych sobie terenów, tępienie zwłaszcza drapieżnych ptaków przez stawianie żelaz i przez odstrzał zapewnia zwierzynie pożądany spokój, utrzymywanie zaś polnych remiz użycza jej koniecznego schronienia, a opolowywanie tych samych rewirów, ale dopiero co drugi rok — przyczynia się może najskuteczniej do osiągnięcia wspaniałych rezultatów tak pojętej hodowli.

W dniu 30. stycznia padło u p. marszałka na polach Przybyszówki w 1 kotle i w dwu łanach w 11 strzelb, 205 zajęcy!

Sam czcigodny Gospodarz, aczkolwiek stawiany na własne życzenie nie na najlepszych stanowiskach, ubił w tym dniu 33 zajęcy i zdobył nolens volens królestwo.

Na leśnem polowaniu w Rudnej Wielkiej u p. Stefana hr. Dąmbskiego ubito w dniu 31. stycznia w 11 miotach i w 7 strzelb 27 zajęcy i 3 lisy. Z uwagi, że to knieja podmokła i zimna, że graniczy z osławionem z kłusownictwa Głogowem i że obstawiano tylko stanowiska czołowe, należy uważać osiągnięty rezultat za bardzo dobry. Ale bo też i młody opiekun tej zresztą sympatycznej kniei, p. Dąmbski, dokłada wszelkich możliwych starań, aby podnieść u siebie stan zwierzyny.

Również i Świlcza, dzierżawiona przez p. dra Adama Midowicza, nie zawiodła i w tym roku oczekiwań, mimo, że silny grad jej pola przemłócił, a kilkakrotna powódź deszczowa wiele młodych zajęcy wytopiła Na polowaniu, odbytem w dniu 17. grudnia 1927, padło tam w 6-ciu polnych miotach i w 22 strzelby 86 zajęcy. Kuropatw naliczono w tym dniu około 60 w siedmiu stadach.

Inne piękne polowanie urządził swej drużynie myśliwskiej p. radca Ilgner, mianowicie w Hucisku w lesie. W 13 strzelb ubito w dniu 26. stycznia 38 zajęcy, lisa i rogacza. Jako objaw pocieszający podnoszę, że wszystkie lisy strzelone na zbiorowych polowaniach, były już wolne od parchów...

* * *

Byłem jeszcze na dwu pięknych polowaniach, ale już poza powiatem rzeszowskim, a o których wspominam raz dlatego, że leżą w sferze wpływów M. T. Ł. we Lwowie i dlatego, że stwierdziłem na nich bardzo wysoki stan kultury łowieckiej.

Polowania te urządzili pp. dr. Marjan Nowiński, właściciel Tryńczy pod Leżajskiem i inż. Grzegorz Zerygiewicz, właściciel Iwania Złotego pod Zaleszczykami.

Polowanie w Tryńczy odbyło się w dniach 13. i 14. grudnia 1927. Pierwszego dnia polowano na polach, drugiego w lesie i ubito w 20 strzelb: 117 zajęcy i 2 rogacze. Rezultat znakomity, jak na rok, pełen tylko wcale niepomyślnych niespodzianek atmosferycznych. Zasługa w tem wielka szanownego Gospodarza, który

---

Chciałem sprać dziewczynę, ale Anula się sprzeciwiła.

Cóż złego Parańka zrobiła, powiedz! Ma to niepotrzebne żelaziwo daremnie wisieć na ścianie, niech choć nim Parańka smolaków nałupie, na kąpiel dla Nepomuśka. . . . .

Darowałem mój sztuciec Ciumpanience papie, na imieniny.

Nie mogę się pogodzić z myślą, że moja strzelbadrużka, co trupem kładła szlachetne okazy fauny całego świata, dziś służyć musi do zabijania sarn i zajęcy na kuchnię.

Kiedyś tu — kazała mi Anula płoszyć z niej gawrony, co jej szkody w ogrodzie robiły. Cały dzień, kule wyjąwszy, chodziłem i pukałem.

O, święty Hubercie, który . . . .

. . . .

Przekonujemy się z tych drobnych fragmentów, że nasz bohater powrócił wprawdzie do kraju i posiadł ukochaną dziewczynę, lecz jakże odmiennemi torami płynęło odtąd życie jego.

Opuścił nolens volens sztandar św. Huberta, zdradził życzliwą opiekunkę szybkonogą Djanę i za wpływem żony, zaciągnąć się musiał pod inną chorągiew. Niejednemu z nas laborum to znane.

Kształtem przypomina fartuszek, czerwony pantofelek na nim świeci, drobnej, lecz energicznej nóżki kobiecej emblema, co snadnie gnie ku ziemi najsztywniejsze męskie karki.

KONIEC



nie szczędzi wysiłków i kosztów, aby tylko swój zwierzostan podnieść. A że ma złych sąsiadów i moc kłusowników i wnykarzy, że ma podmokłe grunta, więc jest z kim walczyć i nielada trudności pokonywać. Gdy tylko śnieg opadnie, znoszą mu zaraz dozorcy całe naręcza drutów i sideł, zakładanych nawet na miedzach w polu, zjawia się też wnet i kilka gołębiarzy, które mu wyławiają kuropatwy. Gospodarz walkę podejmuje z całą energją, bo młody i chętny, bo w pełni prawidłowy myśliwy i hodowca, bo żywi wreszcie to głębokie przekonanie, że każdy trud dla biednej łownej zwierzyny podjęty, sowicie się opłaca.

Do wielkich cnót myśliwskich tego z bożej łaski myśliwego zaliczyć należy i to, że nie cierpi u siebie polowania „na kuchnię“, że nie wysyła w jesieni na pola ani kucharzy, ani furmanów na tzw. deptaki.

Cichy dwór p. dra Nowińskiego i jego małżonki podejmował przez dwa dni 20 myśliwych z całą serdeczną, prawdziwie staropolską gościnnością. Pozwolę sobie w imieniu wszystkich uczestników tych godów myśliwskich i w swojem własnem, złożyć Przezacnym Gospodarzom na tem miejscu gorące podziękowanie.

Innego rodzaju zabawę myśliwską mieliśmy na dalekiem Podolu u p. inż. Grzegorza Zerygiewicza w Iwaniu Złotem. Młody to jeszcze człowiek, ale pierwszorzędny myśliwy i tak się już dzisiaj wybił pod temi i inemi względami, że stał się osobistością wielce miarodajną i decydującą zwłaszcza w sprawach z łowiectwem związanych.

Polowaliśmy u niego przez dwa dni: 27. i 30. grudnia 1927 w lesie i na polach, w Iwaniu i Zazulińcach.

W sześciu leśnych miotach padło w pierwszym dniu łowów w 15 strzelb: 51 zajęcy i lis. Było jednak w lesie siedm otropionych dzików i kilka kierdli sarn. Strzelano do jednych i drugich (do rogaczy), ale bez skutku. Kochany Gospodarz otworzył nam na oścież swą knieję, pokazał wszystkie jej zasoby i skarby i kazał z nich czerpać pełną ręką, ale myśliwi nie umieli korzystać z nadarzającej się sposobności i pudłowali... I nie jego w tem wina, że żaden dzik-szablarz nie uświetnił wieczornego pokotu.

Dnia 30. grudnia 1927 polowaliśmy w Zazulińcach, w majątku p. M. Winnickiej. W sześciu polnych miotach i w 12 strzelb ustrzeliliśmy 64 zajęcy. Tam, gdzie przed wojną można było znaleść zaledwie kilka zajęcy i to śmiertelnie wystraszonych, gdzie szalał szatan-kłusownik, obecie padło ich 64... Ten świetny stan zawdzięczyć trzeba li tylko panu Zerygiewiczowi, który mając nadzór nad łowiskiem, zabrał się z całym zapałem i energją do naprawienia smutnych stosunków.

Ten wzorowy myśliwy i znakomity strzelec cieszył się przez oba dni szczególniejszą łaską św. Huberta. Prowadząc polowanie i chadzając gdzieś po flankach, ubił sam aż 29 zajęcy!

Nie potrzebuję chyba dodawać, czem stał się uroczy dwór w Zazulińcach dla braci myśliwskiej, jak pożądanym był przybytkiem przed polowaniem i jaką przemiłą przystanią po nim!...

Władysław Gürler.

Pikułowice, w lutym 1928.

Ze wschodnich granic powiatu lwowskiego.

Miniony sezon zapowiadał się pod względem stanu zajęcy gorzej, aniżeli wypadł. Na początku sezonu słyszano zewsząd — zajęcy mało i same małe, i przepowiadano bardzo słabe wyniki przyszłych polowań. Przyczynę złego stanu zajęcy jedni kładli na karb motylicy, drudzy na karb pamiętnej burzy gradowej, podczas której miejscami padał grad w niekształtnych bryłach lodu. Że grad wyrządził szkodę i w zwierzynie, nie ulega kwestji, bo na samych tylko łąkach w Barszczowicach znaleziono 1. sarnę i 15. zajęcy, zabitych przez grad.

Odbyte polowania wykazały jednak, że tak źle, jak przepowiadano, nie jest, czego dowodem następujące rezultaty z polowań najbliższego sąsiedztwa:

W dobrach ks Sapieżyny polowano 27. X. 1927 w Znakorzycach w lesie; strzelb 7, na rozkladzie 1 rogacz, 1 lis, 10 zajęcy, 2 słonki, 2 kuropatwy. Zajęcy padło mało, bo trzymały się jeszcze pola.

Dnia 10 grudnia 1927 w Biłce królewskiej w lesie, strzelb 5, na rozkładzie 1 lis i 15 zajęcy.

Dnia 24 grudnia w Biłce król. na łąkach i polach (parugodzinne polowanie wigilijne) strzelb 6, na rozkładzie 26 zajęcy.

Dnia 21 stycznia 1928 w Hermanowie polowanie kociołkowe, podczas niezwykle silnej śnieżycy, strzelb 16, na rozkładzie 30 zajęcy.

Dnia 26 stycznia w Hermanowie druga część pól i lasek, strzelb 9, na rozkładzie 45 zajęcy.

Dnia 28 stycznia w Biłce szlacheckiej polowanie kociołkowe, strzelb 13, na rozkładzie 50 zajęcy.

Dnia 31 stycznia w Biłce królewskiej polowanie kociołkowe, strzelb 13, na rozkładzie 42 zajęcy.

W dobrach p. Krzeczunowicza w Jaryczowie Nowym. Dnia 22 i 23 grudnia 1927 w lesie, 7 strzelb, na rozkładzie 86 zajęcy. Do kozłów nie strzelano mimo, że dzięki troskliwości Właściciela stan sarn jest tak silny, iż zagraża poważnie kulturze leśnej.

Dnia 21 stycznia 1928 w Podliskach wielkich na polach i łąkach polowanie kociołkowe, 6 strzelb, na rozkładzie 80 zajęcy.

Tu mamy znowu dowód, do czego może doprowadzić troskliwość gospodarza, dbającego o swój zwierzostan i wstrzemięźliwy odstrzał w latach ubiegłych.

Dnia 21 stycznia w Kamienopolu i częściowo w Prusach pol. kocioł., strzelb 7, na rozkładzie 50 zajęcy.

W Pikułowicach polowano 15 stycznia 1928 na polach gminnych w strzelb 6, na rozkładzie 21 zajęcy. Rezultat tak słaby z powodu braku nagonki.

Dnia 23 stycznia polowano w lesie i na polach dworskich w 11 strzelb, na rozkładzie 1 kozioł i 52 zajęcy.

W Barszczowicach polowano tylko 24 grudnia 1927 w strzelb 6, na rozkładzie 26 zajęcy. Oprócz powyżej danych padło na polowaniach polnych w Mikłaszowie i Podborcach, urządzanych przez Two M. „Nemrod“ 150 zajęcy.

Jak z powyższego widać, to rezultaty jak na tutejsze warunki, nie najgorsze. Przy sposobności polowań na polach, widywano dość liczne i silne stadka kuropatw; jest więc nadzieja, że stan kuropatw będzie w przyszłym sezonie wprost wyśmienity.

Przeszłego lata było w tych stronach o wiele więcej kaczek aniżeli zwykle, a które z wyjątkiem krótkiej przerwy podczas silniejszych mrozów, przez całą zimę otwartych wód się trzymają.

Obecnie jest tak silny nalot kaczek, że nawet nad woniejącą Pełtwią widuje się niebywałe w tych stronach stada, bo dochodzące do 200 sztuk,

M. Małaczyński.

Wojsławice, w lutym 1928.



Posyłam Szanownej Redakcji udałe zdjęcie rzadkiego okazu „sokoła Raroga" *(Hierofalco Saker)*, którego zabiłem w jesieni 1927 r.

Na zdjęciu uwidocznione jest wyraźnie upierzenie, długość skrzydeł równa z piórami ogona i średni palec u nogi dłuższy od krajnych. *)

Bogusław Stamirowski.

Chodorów, w styczniu 1928.

Dnia 11. stycznia odbyło się polowanie w majątku Konstantego hr. Dieduszyckiego w Izydorówce pow. Żydaczów, w rewirze Świetlanka.

Gościnność i serdeczność gospodarzy znaną jest w całej okolicy. Prócz tych cech są oni prawdziwymi hodowcami zwierzyny, czego dowodem, że w dniu tym w 8 strzelb, w jednym tylko rewirze padło: 2 lisy, 7 rogaczy i 92 zajęcy. Zwierzostan w majątku powyższym jest nadzwyczajny, a tylko dzięki opiece, jaką właściciele otaczają zwierzynę. Naprawdę, w czasach obecnych, gdzie ta gałąź gospodarstwa krajowego tak po macoszemu jest traktowaną, u hr. Dieduszyckich z Izydorówki służyć może za wzór dla innych.

Niech słów tych parę, które skreśliłem nie z kurtuazji, lecz które są obserwacją myśliwego-hodowcy, niech będą nagrodą dla gospodarzy i bodźcem do dalszej pracy na tem polu.

Lesław Katzer.

Chodorów w lutym, 1928

Po ukończeniu sezonu obowiązkiem moim jest zdać sprawozdanie z odbytych polowań.

Towarzystwo Łowieckie w Chodorowie w ubiegłym sezonie urządziło 6 gremjalnych polowań; na rozkładzie było: 2 lisy, 3 rogacze i 127 zajęcy. Polowania dzicze w tym roku w rewirach Towarzystwa nie udały się, bo dziki zmieniały rewiry, zdaje się w poszukiwaniu za karmą. Zwierzostan od czasu wydzierżawienia Gmin Czerniów-Żurów-Hrehorów i lasów Wiszniowa — znacznie się poprawił dzięki wytężonej pracy Wydziału Towarzystwa. Stosunkowo mała ilość zajęcy zabitych nie została spowodowaną brakiem tychże, tylko na gminy powyższe z władz administracyjnych otrzymano odstrzał 130 zajęcy. Wystarczy, jako przykład podać, że na jednem z polowań, na którem padło 22 zajęcy, uszło niestrzelanych około 90 sztuk.

Straż leśna Towarzystwa do skończenia sezonu zabiła szkodników: 8 jastrzębi, 14 psów, 12 kotów, 104 wron, 37 srok. Za zabite szkodniki wypłacono strażnikom premje w ogólnej kwocie 232·70 zł. Na karmę dla zwierzyny wydano 150 zł.

Jak z powyższego wynika, Towarzystwo rozpoczęło racjonalną gospodarkę; utrudnia ją jednak sąsiedztwo terenów wynajętych przez gospodarzy, którzy nie uwzględniając pozwolenia odstrzału — polują bez miary a prócz tego zakładają wnyki, które szerzą wprost spustoszenie w zwierzostanie.

Dziwnem wydaje się, że tego rodzaju osobnikom wydzierżawia się tereny gminne — którzy tępią zwierzynę, robiąc tem samem szkody w zwierzostanie sąsiadom. Silna i energiczna akcja władz administracyjnych w danej sprawie mogłaby zdziałać bardzo wiele.

Zarząd dóbr barona de Vauz i Zarząd dóbr cukrowni w ubiegłym sezonie żadnych gremjalnych polowań nie urządzały, chcąc zwierzostan swój zwiększyć.

Na wniosek mój Starostwo w Bóbrce zamknęło na 1 rok polowania w gminach Bortniki-Bukawina-Demidów-Mołotów-Borodczyce-Zaleśce-Podniestrzany na rogacze i zające.

Lesław Katzer.

Przemyśl, w lutym 1928.

P. Leśniowski z Przemyśla, właściciel terenów łowieckich Tamanowice i Lutków (pow. Mościska), urządził 28. stycznia polowanie, na którem w siedm strzelb ubito 13 zajęcy; strzałów dano ogółem 30. Widziano trzy stadka kuropatw po 6, 8 i 9 sztuk. Naganiaczy 15, płacono 1·20 zł. Polowano tylko miotami. Pogoda piękna, na polach śnieg. Gościnne przyjęcie, jakie gospodarz zgotował uczestnikom, uzupełniło miłe wspomnienia z odbytego polowania.

Józef Wł. Kobylański.

Bolanowice, w lutym 1928

Na zakończenie sezonu urządził Zarząd dóbr hr. Drohojowskiego w Tamanowicach małe polowanie w dniach 26. i 30. stycznia Pierwszego dnia polowaliśmy w 6 strzelb na skraju lasu rewiru Bolanowice i częściowo w kotłach na polach, w ciężkich warunkach atmosferycznych. Na rozkładzie 1 lis, 2 rogacze, 8 zajęcy. Królową polowania pani Biedermanowa.

Drugiego dnia polowaliśmy w 7 strzelb w lesie Słotwina-Grabnik, położonym w polach, przyczem wzięliśmy kilka kotłów, co jednak nie dało zadawalającego rezultatu z braku potrzebnej ilości myśliwych. Na rozkładzie 4 lisy i 3 zające (lis parszywy).

Królową polowania p. Biedermanowa z Rajtarowic, mając ubitych 3 lisy i zająca. Biorąc kotły, natrafiliśmy na duże stadko kuropatw, które spokojnie przeniosły się za linję myśliwych.

---

*) Dla wyjaśnienia dodajemy, że sokół Raróg różni się zasadniczo od podobnego mu sokoła wędrownego zewnętrznym palcem u nogi równym wewnętrznemu, gdy u sokoła wędrownego palec zewnętrzny jest od wewnętrznego znacznie dłuższy. *Red.*

Muszę zaznaczyć, iż stan zajęcy znacznie się pogorszył, natomiast stan sarn poprawił się.

Dzików w lasach tutejszych niema stałych, prócz kilku sztuk wędrownych, w tem duży odyniec, spotykany niejednokrotnie przez straż leśną.

Zalasiński.

Kraków, w lutym 1928.

Z Oddziału Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego w Krakowie.

Minął zielony karnawał — sezon myśliwski. Ucichła trąbka myśliwska, podniecająca przed gonem — myśliwego do uwagi, a tu i ówdzie do silniejszego bicia serca i z różnych zakątków naszej polskiej ziemi zlatują jak ptaki wędrowne — wspomnienia do „Łowca“!

Jedne pełne świetności — na grubego zwierza, dostępne niestety dla nielicznego grona wybrańców z pod znaku św. Huberta, drugie skromne i szare, na drobną zwierzynę — lecz świeże i nie pozbawione uroku, jak polne kwiaty.

Do tych ostatnich mam dorzucić słów parę z prześlicznego zakątka ziemi sandeckiej, gdzie nad modrą wstęgą Dunajca duma stary zamek Jagiellonów, o dawniejszych rozległych borach, o czem świadczy taka nazwa wsi, jak „Tęgoborze“, o dawnym zwierzostanie i dawnej świetności naszych łowów.

Przejdźmy jednak do rzeczywistości. Wspomnę więc najpierw o „Kółku myśliwskiem“ w samym Nowym Sączu. Zorganizowane przed kilku laty wspólnem staraniem członków obejmuje obecnie obszar skomasowany, liczący około 7.000 ha po obu stronach Dunajca. Obszar kółka obejmuje 11 rewirów i w ubiegłym sezonie odbyło się 11 polowań, polując raz w roku w każdym rewirze. Ogółem padło 178 zajęcy, 3 lisy, 47 kaczek, 6 jastrzębi, ponad 40 srok, przeszło 100 wron, 5 kotów i dwa psy gończe, włóczące się po rewirach. Przeciętna ilość strzelb była: 12. Najwięcej na jednem polowaniu ubito: 36 zajęcy i lisa; najmniej: 8 zajęcy. Do Kółka należy 18-tu myśliwych. Polowania prowadzone są wzorowo, z ogromną karnością.

Bez przesady można powiedzieć, że rewiry Kółka zaczynają być ostoją dla zwierzyny w naszym powiecie, która otoczona pieczą straży łowieckiej, z roku na rok ilościowo się powiększa. Kółko w ubiegłym sezonie zapoczątkowało chów bażantów — a w przyszłym sezonie zamierza sprowadzić zające dla odświeżenia krwi.

Kaczek w zeszłym roku było wszędzie ogromnie dużo, tak, że napotykano stada złożone z 50 i więcej sztuk. Dublety nie należały do rzadkości. Stan kuropatw, na które na rewirach Kółka przez ubiegłe trzy lata nie polowano wcale, zaczyna się zwolna poprawiać — spotyka się już stadka z kilkunastu sztuk złożone.

Kłusownictwo, jako takie, zaczyna się zmniejszać przynajmniej na rewirach Kółka. Wnykarstwo jednak święci tryumf jeszcze przedwojenny. Mamy jednak nadzieję, że nowa ustawa łowiecka, a zwłaszcza surowe kary i tej pladze położą z czasem koniec.

W przepięknych dobrach i rewirach myśliwskich Adama hr. Stadnickiego z Nawajowy, w sezonie ubiegłym odbyło się tylko jedno polowanie w Wigilję Bożego Narodzenia, na drobną zwierzynę, na którem padło 36 zajęcy i lis. Polowań na dziki było dotychczas trzy, lecz z powodu wielkich obszarów, a zwłaszcza zimy bez śniegu — otropienie było trudniejsze — przeto na dwóch polowaniach, choć były w miocie otropionym, na myśliwych nie wyszły. Na trzeciem i zdaje się ostatniem polowaniu w Przysietnicy, sam Gospodarz zabił dzika. Stan zwierzyny jest zresztą w rewirach hr. Stadnickiego dobry, zwłaszcza sarn i z roku na rok powiększa się stan jeleni — które otaczane są specjalną opieką.

W dobrach rządowych — zwierzostan prawie zupełnie zniszczony, obecnie z roku na rok się powiększa, zwłaszcza ilość sarn dojdzie niebawem do przedwojennej normy. W zimie zakładana karma — siano dla sarn i porobione są liczne lizawki. Sądzę, że nie będzie od rzeczy, gdy nadmienię, że dobra rządowe, wynoszące obecnie około 4.000 ha lasów, są częścią wiana św. Kingi, królowej polskiej, żony Bolesława Wstydliwego. Ufundowała ona w XIII w. w Starym Sączu kościół i klasztor Klarysek, w którym została pierwszą Przełożoną-ksienią. Klasztorowi zapisała na wiano 100 wsi, a więc prawie całą ziemię sandecką, a uprzywilejowany przez królowę, rządził się klasztor jak w udzielnem księstwie, pobierając kontrybucję, nakładając cła, korzystając z żup solnych Wieliczki i wiele — wiele innych.

Józef II, cesarz austrjacki, skonfiskował w XVIII w. dobra klasztorne, a wraz z nimi wprost bezcennej wartości klejnoty, dzieła sztuki, obrazy, urządzenia i wyznaczył dla każdej zakonnicy roczną pensję w kwocie 240 kor. pod warunkiem utrzymywania szkoły publicznej przy klasztorze. Majątek zrabowany nie powrócił już więcej do klasztoru Klarysek, przepadły raz na zawsze dzieła sztuki i klejnoty — lecz ziemia i piękne, choć mocno przetrzebione lasy, wróciły z powrotem na Ojczyzny łono.

Sam kościół i klasztor jest bardzo ciekawym zabytkiem ubiegłych wieków i przechowuje wiele pamiątek po św. Kindze. Bardzo interesujące są prastare grobowce w podziemiach klasztoru, które posiadają jakby specjalną własność, unifikacji zwłok — widziałem sam zakonnice zmarłe przed wiekami — wyglądają, jakby spały, zupełnie dobrze zachowane, bez śladu rozkładu. Klasztor zwiedzić można tylko za specjalnem pozwoleniem ks. biskupa tarnowskiego.

W Nowym Sączu istnieje jeszcze drugie Tow. Łowieckie „Dunajec“, które aczkolwiek nie rozporządza dużemi terenami — jednak prowadzi racjonalną gospodarkę łowiecką.

W Starym Sączu jest również Tow. myśliwskie które samorzutnie zamknęło polowanie na terenie samego Starego Sącza na przeciąg dwu lat na wszelką zwierzynę łowną — jest więc nadzieja, że zwierzostan się poprawi. Towarzystwo nosi się również z myślą sprowadzania zajęcy do rozmnoży.

Nowa ustawa łowiecka, zabraniająca polowania z psami gończemi w małych rewirach, nie pozwoli niepowołanym nemrodom na prowadzenie rabunkowej gospodarki; łączenie się zaś pojedyńczych rewirów zapoczątkuje nową erę w naszem łowiectwie polskiem.

Dr. Edward Zieliński
Del. M. T. Ł. na pow. Nowy Sącz.

Liczkowce, pow. Trembowla, w lutym 1928.

Dnia 20. i 21. stycznia odbyło się doroczne polowanie u p. Emila Kimelmana w Liczkowcach w 14 strzelb. Wzięto 17 miotów; z powodu dużego śniegu 5 miotów nie brano. Na rozkładzie 230 zajęcy, ponadto ubito w rewirze 3 dziki i 3 lisy. Stan sarn i kuropatw świetny,

T. Tenus.

Odpowiedź na zapytanie w sprawie tępienia kotów.

Najradykalniejszym środkiem jest strzał z małokalibrowej broni. Strzał niegłośny może być dany i między zabudowaniami miejskiemi.

Drugi sposób, to żelazka nastopne lub z przynętą o silnej sprężynie i dość wysokich kabłąkach, by kota nie łapały za nogi, lecz w pół i zabijały.

Żywcem można wyłapywać koty na skrzynki z przynętą np. śledź. Łapka ta jest ogólnie znana pod nazwą stępica i może być sporządzona przez każdego wiejskiego stolarza.

M. M.

WPana iżn. Wincentego Wobra prosimy o przysłanie nam szkiców do Jego artykułu p. t.: „Sztuczne gniazda dziupłowe dla ptactwa pożytecznego“.

O kulturę w łowiectwie.

W *„Polsce Zbrojnej“* z 7. stycznia b. r. czytamy:

Wojna i jej następstwa, do których należało też rozwielmożnione kłusownictwo, zadały dotkliwy cios naszemu łowiectwu. Niejednolite przez szereg lat prawodawstwo myśliwskie uniemożliwiało ochronę ginącego zwierza.

Dziś już dzięki wprowadzeniu w życie rozporządzenia Prezydenta Rzpltej o nowem prawie łowieckiem, polskie myślistwo rozpoczyna nową epokę. Jednak ażeby odrodzić i zachować na przyszłość nasz zwierzostan, nie wystarcza tylko przestrzegać przepisów, zawartych w artykułach ustawy. Do wykonania tego wielkiego zadania trzeba też powołać najszersze rzesze społeczeństwa i wzbudzić wśród nich zrozumienie i zamiłowanie do omawianej sprawy, a cel ten osiąga się jedynie wtedy, gdy myśliwy odłożywszy fuzję, bierze do ręki pióro.

I oto do szeregu myśliwych - pisarzy wstępuje nowy propagator sprawy łowieckiej i wydaje fachową pracę, poświęconą obronie zwierzyny łownej *)

„Książka ta — pisze znakomity myśliwy - poeta Juljan Ejsmond — napisana przez niezmordowanego bojownika o ochronę użytecznej zwierzyny łownej, posiada doniosłe znaczenie kulturalno - łowieckie“.

O zainteresowaniu, jakie swojemi pracami wzbudza autor „W obronie użytecznej zwierzyny łownej“, świadczy fakt nie spotykany dotychczas w dziejach polskiej książki — oto trzytysięczny nakład poprzedniego dziełka kpt. Kobylańskiego, które ukazało się p. t. „Kłusownik“, został wyczerpany w ciągu niecałych czterech miesięcy, nie będąc zgoła na półkach księgarskich.

Ostatnia praca kpt. Kobylańskiego powina też znaleźć się nietylko w rękach „braci myśliwych“, ale i wśród tych wszystkich, którym nie obca jest sprawa uchronienia od zagłady tej gałęzi bogactwa narodowego, jakim jest zwierz, przebiegający nasze lasy i pola.

Jednymi z pierwszych do propagandy słusznej sprawy przystąpiły władze wojskowe, zarządzając w oddziałach swych wygłaszanie na ten temat odczytów i pogadanek.

Wiesław Tomaszewski.



*) Kpt. Józef Kobylański „W obronie użytecznej zwierzyny łownej“. — Nakładem autora, Przemyśl, ul. Katedralna 3. Cena 2 zł., z przesyłką pocztową 2 zł. 70 gr., za zaliczką 3 zł. 30 gr.

Sprawozdanie Lwowskiej Spółdzielni Myśliwskiej za rok 1927.

Na dniu 11 lutego odbyło się doroczne Walne Zebranie członków Lwowskiej Spółdzielni Myśliwskiej celem wysłuchania sprawozdania Zarządu i bilansu roku 1927. W niezmiernie ciężkich warunkach objęła Spółdzielnia interes od zlikwidowanej Małopolskiej Spółki Myśliwskiej: 9·482 zł. bilansowej straty, przeszło 30·000 zaległości wekslowych i innych, zupełny brak kredytu i zaufania, cały szereg niepewnych dłużników, stosunki z firmami zagranicznemi zerwane lub podkopane a wreszcie i przeważnie część klienteli stracona. Przy minimalnym kapitale zakładowym 9·200 zł. zdołał jednak Zarząd dzięki olbrzymiej rzutności i zapobiegliwości, a do ostatecznych granic posuniętej oszczędności doprowadzić do możliwości zamknięcia roku niżej podanym bilansem, za którym instytucja śmielej w przyszłość patrzeć może. Czysty zysk uchwałą Walnego Zgromadzenia rozdzielony został na fundusz rezerwowy, tantjemy Zarządu, 10 proc. dywidendy od udziałów i częściowe pokrycie straty z r. 1926. Nie uwzględniono przytem statutowo przewidzianych zwrotów towarowych, ze względu na zbyt mały pobór towarów przez członków, nie zwracających uwagi na ten tak ważny paragraf statutu, dzięki któremu przy wielkim obrocie i zysku Spółdzielnia będzie zdolną 10, 20 a nawet i więcej procentu od pobranych towarów zwracać swym członkom z końcem roku, a ma ona nadzieję, że w roku 1928 gruntowna w tym kierunku zajdzie zmiana i członkowie w swym własnym interesie kupienia taniej, niż gdzieindziej, intenzywniej popierać ją będą, dając tem możność lepszego jeszcze rozwoju, zmiany lokalu — co do tego rozwoju jest koniecznością, i przez pozyskanie nowych członków powiększenie kapitału obrotowego.

Bilans netto

Lwowskiej Spółdzielni Myśliwskiej Sp. z ogr. odp. we Lwowie, ul. Lindego 9. za r. 1927

Gotówka w kasie	1.612·36	Kapitał zakładowy	9.200·—
Gotówka w Banku Gospod. Kraj.	688·39	Wierzyciele według spisu	6.626·34
Dłużnicy według spisu	6.060·10	Akcepta według spisu	9.921·30
Towary zapas według spisu	14.138·53	Czysty zysk za rok 1927	7.679·13
Urządzenie sklepu	1.445·18		
Strata z roku 1926	9.482·21		
	Zł. 33.426·77		Zł. 33.426·77

Rachunek strat i zysków

Koszta administracyjne	19.263·12	Brutto zysk na towarach	28.278·97
Odsetki bankowe	1.674·38	„ „ „ reperacjach	498·23
10% amort. urządzenia	160·57		
Czysty zysk	7.679·13		
	Zł. 28.777·20		Zł. 28.777·20

We Lwowie, dnia 4 stycznia 1928 r.

Rada Nadzorcza:

Cyryl Czarkowski - Golejewski

prezes.



Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 7·50 złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 90 zł, 1/2 str. 50 zł, 1/4 str. 30 zł, 1/8 str. 15 zł, 1/16 str. 10 złp., 1/32 str. 5 zł. -- Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50 % drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki, o godzinie 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. P. K. O. Konto Nr. 145.839. Telefon Nr. 18-59.



Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

Z „Drukarni Narodowej", Lwów, ul. Szajnochy 2. Tel. 21-35.